

Wprowadzenie

Pamiętam, jakie wrażenie zrobił na mnie – wówczas studentce socjologii, jeden z pierwszych wykładów z metodologii mojego mistrza i nauczyciela, profesora Stefana Nowaka. Dla uzmysłowienia nam problemu metodologicznej osobliwości nauk społecznych, posłużył się on niezwykle sugestywnym obrazem. Nawet – powiedział – gdybyśmy zebrali na jakimś wielkim placu wszystkich, którzy mieszkają w Polsce i są jej obywatelami, nie zobaczylibyśmy społeczeństwa. Zobaczylibyśmy jedynie masę ludzi. Społeczeństwo jest tym co sprawia, że przestają być oni masą, a ich działania nabierają w miarę regularnego charakteru.

Owa, odwołująca się do wyobraźni, ilustracja dotyka całego zestawu podstawowych dylematów nie tylko metodologii badań społecznych, ale również teorii socjologicznej. W sensie realnym istnieją bowiem rzeczywiście jedynie ludzie i różnego rodzaju artefakty kulturowe – budynki, książki, pompy głębinowe, ulice, telewizory... Wszystko inne jest zaledwie naszym domysłem, postulatem wprowadzonym dla uchwycenia regularności zdarzeń; abstrakcyjnym pojęciem odnoszącym się do sił i mechanizmów, które sprawiają, że owe „realne byty” tworzą pewien układ. Termin „społeczeństwo”, choć dziś używany już nieomal machinalnie – tak przez socjologów, jak dziennikarzy i zwykłych ludzi, jest więc abstrakcją z masy zdarzeń, ze strumienia interakcji i działań, a nie nazwą dla jakiegoś konkretnego obiektu. To pewnie miał na myśli Durkheim, stawiając śmiałą tezę o społecznych źródłach religii: idea bogów czy boga jest w istocie rzeczy postulatem wyjaśniającym podstawy dostrzeganego w świecie porządku oraz pojęciem odnoszącym się do sił zapewniających utrzymywanie go w równowadze.

Termin „społeczeństwo” nie ogranicza się przy tym – co dziś stało się podstawowym jego odniesieniem – do zbioru ludzi funkcjonujących w obrębie państwa. Historyczne korzenie tego pojęcia, wprost przeciwnie, odnoszą się raczej do „towarzystwa” niż do wielkich zbiorowości. Układ społeczny –

regularności w działaniach i interakcjach – może być zarówno małą grupą, jak i narodem. Niezależnie jednak od stopnia złożoności, podstawowy mechanizm „uspołeczniający” działania jednostek musi obowiązywać w każdym z nich, choć naturalnie wzrost liczby elementów musi wprowadzać dodatkowe komplikacje. W najmniejszym nawet układzie społecznym można zobaczyć całość – istotę tego, czym jest „społeczeństwo” oraz wszystkie kluczowe problemy konstytucji i reprodukcji ładu społecznego *sensu largo*.

To właśnie rodzina, intuicyjnie traktowana jako „podstawowa komórka społeczna”, jest bowiem takim minimalnym układem społecznym. Wbrew naszemu poczuciu jej oczywistego i namacalnego istnienia, jest ona raczej domyślnym postulatem niż obiektem. Rodzina zmienia się w czasie – czym innym jest para młodych małżonków, a czym innym – ta sama para z małymi, a potem dorastającymi dziećmi. Nie zobaczymy jej – powracając do wyrażonej ilustracji Stefana Nowaka, usadzając za stołem rodziców z dziećmi. W rzeczywistości rodzina jest procesem, „strumieniem” zdarzeń: realizuje się wszak poprzez ciągle odtwarzanie struktur interakcji, mikroświata domu (sprzątanie, gotowanie) czy domowych rytuałów. Rodzina, jak wszystkie układy społeczne, ma zawsze charakter całości ukrytej – ujawniającej się w skoordynowanych działaniach (zachowaniach) jednostek, w wytworzonych artefaktach kulturowych oraz w efektach zbiorowego działania. Rodziny, podobnie jak społeczeństwa, grupy łowców czy drużyny skautów nie „widać” jako takich – ich istnienie jest abstrakcją ze skoordynowanych działań jednostek, osiągających jakieś cele i posługujących się w działaniu kulturowymi artefaktami (w tym również symbolami). Oznacza to, że istotą rodziny jest to, co leży u podłoża powtarzających się interakcji; mechanizmy i motywacje sprawiające, że ludzie wracają do domów, przytulają swoje dzieci, gotują, majsterkują – i robią tysiące innych rzeczy, które składają się na bycie rodziną. Dla uchwycenia istoty owego szczególnego układu społecznego ważna jest nie forma, w jakiej się on ujawnia – awunkulat, klan, ród czy zadruga – ale mechanizm, który odpowiada za jej trwanie, ujawnianie się i odtwarzanie w kolejnych interakcjach.

Model „rodziny” jest więc w tym ujęciu jednocześnie modelem układu społecznego w ogóle, w jego elementarnej formie. Jak jednak ów układ ma się do szerszych układów społecznych – wspólnot sąsiedzkich, stanów, klas czy wreszcie nowoczesnego masowego społeczeństwa? Czy istotnie rodzina, jak sugeruje uporczywie powracająca metafora, jest „podstawową komórką społeczeństwa” – miejscem, by rozwinąć tę myśl, w którym przebiegają i krzyżują się podstawowe procesy społeczne? Czy jest raczej „cegiełką”, z której buduje

się większy gmach „społeczeństwa”? A może „przystanią w bezlitosnym świecie”, funkcjonującą na obrzeżach dramatu zbiorowego życia? Pytanie o relacje między rodziną a szerszym systemem społecznym można jednak potraktować, podobnie jak pytanie o rodzinę, bardziej ogólnie: jako problem relacji między poziomem mikro- i makrospołecznym.

Uporczywie powracające intuicje, nakazujące upatrywać w rodzinie „podstawowej komórki życia społecznego”, swoistego mikroświata, w którym przełamuje się całość społecznego świata, mają poważne implikacje dla teorii socjologicznej. Pytanie o rodzinę jest jednocześnie pytaniem o podstawy życia społecznego: o system społeczny, kooperację i reprodukcję. Próba stworzenia modelu, który ujmie rodzinę jako podstawowy układ społeczny, „jednostkę reprodukcji” systemu społecznego stanowi jeden z dwu celów, jaki stawiam sobie w przedkładanej czytelnikowi książce. W myśl proponowanego modelu, to właśnie struktury kooperacji, tworzące ów podstawowy układ społeczny, stanowią podstawę funkcjonowania wszelkich systemów życia społecznego: ekonomii, polityki, kultury.

Celem drugim jest krytyczna rewizja statusu „rodziny” we współczesnej socjologii. Oznacza to nie tylko rewizję korpusu wiedzy o rodzinie, ale również jej miejsca w teorii socjologicznej. Jeśli bowiem rodzina stanowi centrum, by tak rzec, społecznego metabolizmu, to nie ma sensu mówić o socjologii rodziny czy teorii rodziny jako o odrębnej dziedzinie przedmiotowej.

Należy zaznaczyć, że podjęcie problemu rodziny w kontekście procesów reprodukcji oraz struktur kooperacji jest w dużej mierze powrotem do klasycznej socjologii i antropologii. Koniec XIX i pierwsza połowa XX wieku były okresem, kiedy zagadnienia rodziny, struktur pokrewieństwa i wywodzonych z nich zasad organizacji znajdowały się w centrum teoretycznej refleksji nad społeczeństwem i logiką jego rozwoju. Dziś znajduje się na jej marginesie; odnosi się wręcz wrażenie, że została ona oddana we władanie innych dyscyplin nauk społecznych: antropologii, demografii, polityki społecznej czy ekonomii.

Warto jednak zauważyć, że z m i e r z c h o w i p r o b l e m a t y k i r o d z i n y w s o c j o l o g i i t o w a r z y s z y s o c j o l o g i c z n a t e z a g ł o s z a c z m i e r z c h r o d z i n y. Owa zbieżność jest nieprzypadkowa: wiąże się z przeświadczeniem, że rodzina – alfa i omega wspólnot „bez historii” i tradycyjnych społeczności, w toku historycznych przemian, została odsunięta na margines życia społecznego; a zatem dziś nie jest istotna również dla teorii socjologicznej. Dla zrozumienia tego, co dzieje się w zindywidualizowanym świecie postnowoczesnym, trzeba sięgnąć raczej do

refleksyjności podmiotu oraz dynamiki zglobalizowanych procesów. O ile więc rodzina jest ważna dla teorii antropologicznej lub dla rozważań o historii rozwoju społecznego, nie jest ważna dla współczesnych teorii socjologicznych; o ile rodzina jest aktywnym podmiotem życia w plemieniu, klanie czy nawet w społeczeństwie feudalnym, o tyle w społeczeństwie postprzemysłowym schodzi w cień.

Rzecz jednak w tym, że teza ta tylko pozornie ma charakter historyczny. W istocie kryje ona w sobie dwa zupełnie skrajne modele rodziny. W myśl jednego z nich – najpełniej reprezentowanego w antropologii, a szczególnie w pracach Claude’a Levi-Straussa, rodzina stanowi podstawowe medium rozgrywania się i budowania społeczeństwa *sensu largo*. To właśnie wymiana kobiet, darów, symboli i genów konsoliduje pierwotne grupy rodzinne w większe całości społeczne (Levi-Strauss C.: 1982). Stanowi zarazem medium transmisji i reprodukcji w wymiarze diachronicznym, przekazując w przyszłość dobra, dary, znaki i geny; jest „maszynką do generowania społeczeństwa”. „Rodzina” materializuje się w konkretnych osobach i wydarzeniach, ale w istocie jest procesem transmisji i wymiany: jest strukturą dualną, kształtującą się na styku przeszłości i przyszłości oraz na styku różnych układów społecznych. W swoich różnych wcieleniach, stanowi zawsze *w e h i k u ł p r o c e s u r e p r o d u k c j i z a r ó w n o f i z y c z n y c h j e d n o s t e k¹ j a k i w i ę k s z y c h c a ł o ś c i s p o ł e c z n y c h , e k o n o m i c z n y c h o r a z d e m o g r a f i c z n y c h*. W tym ujęciu, „rodzina” skupia w sobie i krystalizuje wszystkie podstawowe problemy socjologii: problem synchronii i diachronii, trwania i zmiany, relacji między poziomem jednostkowym a poziomem układu społecznego (grupy), a także między poziomem mikro- i makrostruktur. Jest miejscem, w którym stykają się przeszłość i przyszłość; natura i kultura; w którym jednostki zawiązują trwałe struktury kooperacji, oraz przestrzenią, w której zakorzenione są wszystkie podstawowe podsystemy życia społecznego – ekonomii, polityki, kultury. To nie podmiot, ale rodzina stanowi w tym ujęciu podstawową jednostkę społeczną. I to właśnie rodzina dostarcza najlepszego materiału, pozwalającego zapytać o warunki i mechanizmy zawiązywania się jednostek społecznych wyższego rzędu – „grupy złożonej z grup” i prześledzić tworzenie się hierarchicznie złożonego systemu społecznego.

¹ Przez „jednostkę” rozumiem tu czysto fizyczne indywiduum, a nie „podmiot”.

Owej wizji rodziny jako aktywnego, twórczego czynnika ekspansji życia społecznego przeciwstawia się dominujący w socjologii od lat trzydziestych paradygmat „pasywnego odbiorcy zmian”. Zakłada on, że w historycznym procesie modernizacji rodzina zostaje stopniowo przesunięta z przestrzeni publicznej w przestrzeń prywatną, czy wręcz intymną, a jej funkcje są przejmowane przez inne instytucje. Przestaje więc być aktywnym, twórczym podmiotem życia społecznego, a jej miejsce w centrum społeczeństwa zajmują instytucje rynku, państwa, demokracji czy masowej komunikacji. Współczesna rodzina nie reprezentuje, w myśl tej tezy, żadnej *s z c z e g ó l n e j r z e c z y - w i s t o ś c i s p o ł e c z n e j*: jako sfera prywatna, pełni rolę peryferyjną w porównaniu z takimi procesami społecznymi, jak demokracja, społeczeństwo obywatelskie, rynek czy kultura masowa. Badanie rodziny może się wydawać wręcz mało interesujące: w końcu „prawdziwe” życie toczy się gdzie indziej i również gdzie indziej rozstrzygają się ważne kwestie przesądzające o funkcjonowaniu społeczeństwa. Nic więc dziwnego, że i zainteresowania socjologii przesuwają się w ich stronę – na systemy edukacji, polityki społecznej, pracy.

Warto podkreślić, że wizja „rodziny” jako plastycznego, biernego odbiorcy zmian zachodzących w otoczeniu, co najwyżej adaptującego się do kolejnych presji, stoi w sprzeczności z ustaleniami demografii historycznej. We wprowadzeniu do swojej słynnej książki *Reproducing Families. The Political History of English Population History* (1987), jeden z najznakomitszych badaczy historii rodziny, David Levine pisze: „Praca ta wyrasta z przeświadczenia, że rodzina plebejska nie była po prostu przedmiotem zmian, ale wprost przeciwnie: jej demograficzne zachowania, podejmowane w odpowiedzi na oddziaływanie różnorodnych presji ekonomicznych stworzyły nowe warunki, które dogłębnie zmieniły historię. [...] Proces reprodukcji rodzin leży w samym sercu mojej argumentacji: pozwala on bowiem uchwycić jedną z najbardziej rewolucyjnych sił w historii Anglii – cichą, skumulowaną presję wywieraną przez żyjących na krawędzi przeżycia chłopów, tracących swoje starodawne prawa i wolności. Koncentrując się na mentalności oraz strategiach przeżycia motywujących działania wieśniaków w sferze produkcji (oraz, oczywiście, reprodukcji), [...] możemy dostrzec mikroświat napędzającą angielską ekspansję – najpierw w obrębie wysp brytyjskich, potem poprzez Atlantyk, a następnie w skali globu.” (Levine D.: 1987, s. 5–7).

Teza o zmierzchu rodziny wynika jednak również z bardziej lub mniej jawnie przyjmowanego **modelu rodziny**; modelu, który istotnie przestaje domi-

nować w realnym życiu społecznym. Utożsamienie pewnej historycznej formy rodziny z jej istotą uniemożliwia dostrzeżenie, że to nie rodzina jako taka dobiegła kresu, ale jakaś jej forma. Zakłada się, że rodzina traci społeczne znaczenie, i zakłada się że „triumfująca rodzina nuklearna” czasów nowożytnych reprezentuje esencję rodziny w ogóle. Oba założenia prowadzą do zapoznania przez socjologię teoretycznego sensu pojęcia rodziny. Podobnie jak pojęcie społeczeństwa, którym większość socjologów posługuje się nieomal machinalnie, pojęcie rodziny uległo banalizacji. Co więcej – oba pojęcia są silnie zakorzenione historycznie.

Tak samo jak termin „społeczeństwo”, również i „rodzina” pojawiła się w dyskursach ideologicznych i naukowych XIX wieku. „Rodzina – **triumfująca w doktrynach i dyskursach**, które wszystkie, od konserwatywnych po liberalne, a nawet wolnościowe, sławiły ją jako komórkę żywego ładu – była w rzeczywistości znacznie bardziej chaotyczna i pełna przeciwieństw. Rodzina nuklearna wyłaniała się dopiero z rozleglejszych i utrzymujących się trwale systemów pokrewieństwa, przyjmujących różne formy, w zależności od miast i wsi, regionów i tradycji, środowisk społecznych i kulturowych.” (Perrot M., Martin-Fugier A.: 1999, s. 91).

Oznacza to, że podjęcie problemu przemian rodziny wymaga **zawieszenia** na samym początku tych konotacji, kontekstów oraz tez, które zadomowiły się w refleksji socjologicznej jako oczywiste. Trzeba sproblematyzować na nowo pojęcie rodziny, przyjmując, że perspektywa, w której rozpatrujemy ją dzisiaj, może okazać się partykularna i historyczna; że, być może, konstytuujące ją założenia stanowią element i wyraz różnorodnych norm, legitymizacji oraz ideologii, które szczególnie od początków wieku XX – wieku wielkich ideologii – uczyniły rodzinę jednym z istotniejszych tematów². Jak twierdzi wielu autorów³, „rodzina” rozumiana jako triada złożona z ojca – matki – dzieci, była nade wszystko i najpierw kategorią ideologiczną oraz naukową, a jej „triumf” jako podstawowej komórki społeczeństwa nieprzypadkowo przypada na okres kształtowania się zrębów demokracji oraz społeczeństwa przemysłowego. W swoim podstawowym dziele Alexis de Tocqueville pisał: „[...] despotyzm,

² Wystarczy wspomnieć ideologie i ruchy eugeniczne (por. Gawin M.: 2003, Weeks J.: 1989), czy skierowane przeciwko rodzinie mieszczańskiej ostrze krytyki marksowskiej, a przeciw rodzinie w ogóle – leninowskiej; z kolei ideologie prawicowe (konserwatywne) argumentowały.

³ Por. rozdział VI; szczególnie Flandrin J.-L.: 1998, Laslett P.: 1972.

który z natury swej jest bojaźliwy, dostrzega w izolowaniu ludzi najpewniejszą rękojmię własnego trwania i zazwyczaj dokłada wszelkich starań, aby ich izolować [...]. Demokracja rozluźnia więzi społeczne, ale zacieśnia więzy naturalne. Zbliża członków rodziny, rozdzielając jednocześnie obywateli” (*O demokracji w Ameryce*, księga II, rozdz. VIII). Rodzina – społeczność naturalna, model altruistycznego „przedsiębiorstwa” oraz pierwsza szkoła ustanawiania woli zbiorowej staje się kluczem nie tylko do indywidualnego szczęścia, ale również do dobra publicznego. Innymi słowy, „rodzina nuklearna” była czy jest tyleż rzeczywistością pewnego okresu historycznego, co projekcją określonych ideałów politycznych czy wiedzy eksperckiej. Z całą pewnością jednak nie była materializacją „istoty rodziny”, która w dalszym procesie przekształceń społecznych, zwanych postnowoczesnością, ulega rozbiciu.

Zadanie na nowo pytania o rodzinę wymaga krytycznej rewizji utartych przekonań. Będę się starała dowieść, że teza o zmierzchu rodziny jest prostą konsekwencją przyjęcia założenia o zmierzchu rodziny oraz efektem idealizacji pewnej historycznej formy rodziny jako jej uniwersalnej normy czy wręcz istoty. Ogromne zasoby wiedzy zgromadzonej w innych dyscyplinach nauk społecznych już dzisiaj podważyły niektóre z, wydawałoby się, oczywistych przeświadczeń odnośnie rodziny.

Pierwsze z nich odnosi się do przemian, jakim uległa rodzina pod naciskiem modernizacji – nade wszystko urbanizacji oraz uprzemysłowienia. Warto podkreślić, że *implicite* przyjmuje się tu, iż rodzina zmieniała się p o d w p ł y w e m zmian wobec niej zewnętrznych, generowanych przez przekształcenia gospodarki czy powstawanie fabrycznego systemu pracy. Zakłada się tu więc bierność i pasywność rodziny, przekształcającej się pod naciskiem zewnętrznych okoliczności. Warto jednak uświadomić sobie, że zmiany gospodarcze nie dokonują się same: dokonują ich ci sami ludzie, którzy zakładają rodziny, mają dzieci, podtrzymują więzi z krewnymi, poszukując możliwości poprawy sytuacji materialnej migrują do miast lub wręcz na inny kontynent itp. Rozwój kapitalizmu można w równym stopniu przypisać „duchowi protestantyzmu” i endogennym czynnikom makroekonomicznym, co aktywności niedziedziczących synów szlacheckich, poszukujących dla siebie nowych możliwości ekspansji ekonomicznej, po to między innymi, żeby założyć rodzinę (Hajnal J.: 1965). Zdaniem historyków, rodzina nie przystosowuje się więc pasywnie do zmian w otoczeniu: jest aktywnym aktorem owe zmiany współkreującym. Oznacza to, że jedno z kluczowych założeń socjologicznego paradygmatu myślenia o rodzinie powinno ulec rewizji.

Kolejnym elementem socjologicznego paradygmatu jest teza o „obkurczeniu” rodziny: w procesie powstawania nowoczesnego społeczeństwa miała ona utracić część swoich funkcji oraz ograniczyć zasięg aktywnych więzi krewniaczych. Owe przemiany, którym ulec miała rodzina, są dość powszechnie uznawane w socjologii za dobrze dowiedzione. I, w pewnym sensie, są: z jednej strony, stanowią one *d e d u k c j ę* z systemu Parsonsa, z drugiej – uzyskały empiryczny wyraz⁴ w monumentalnym dziele Goode’a⁵. Główne idee oraz ich ilustracje weszły na stałe do większości podręczników socjologii, wchodząc tym samym do paradygmatycznego kanonu wiedzy tak oczywistej, że nie poddawanej dalszej refleksji. Wizja rodziny rozrywanej i niszczonej przez presję rodzącego się przemysłu łatwo trafia do wyobraźni. Badania demografów oraz historyków dowodnie pokazują jednak, że teza ta jest nie do utrzymania. Można wręcz wskazać dane świadczące o tym, że jest odwrotnie: w okresie uprzemysłowienia, i to zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak w ZSRR *c z ę ś c i e j n i ż p r z e d t e m* pod jednym dachem, i to *w m i e ś c i e*, *a n i e n a w s i* zdarza się spotkać trzypokoleniową rodzinę złożoną z rodziców oraz ich żonatych/zamężnych dzieci (Medick H.: 1986). Nie da się również obronić, w świetle zgromadzonych przez historyków i demografów danych tezy, że współczesna rodzina traci zakorzenienie w szerszych więzach rodzinnych. Badania Tamary Hareven (1986) dokumentują fundamentalną rolę, jaką w procesach migracji odgrywają właśnie więzi krewniacze. Analizując te dane trudno rozstrzygnąć, czy to miasto „wyssało” ze wsi ludzi, wykorzeniając ich z rodzinnych wspólnot, czy raczej rodziny „ściągały” ze wsi swoich krewnych, pomagając im znaleźć pracę, oferując lokum oraz wsparcie w oswojeniu nowej przestrzeni. Dane pokazują również, że – jeśli weźmiemy pod uwagę *w y d o l n o ś ć n o w o c z e s n y c h ś r o d k ó w k o - m u n i k a c j i*, krewni *m i e s z k a j ą b l i s k o*, i to tym bliżej, im bliżej są spokrewnieni; badania Firtha przeprowadzone w Londynie w latach 70. przyniosły zaskakująco wysoką przeciętną liczbę krewnych, których badani – współcześni Anglicy – potrafili wskazać (Finch J.: 1989). Średnia ta nie odbiega od danych antropologicznych – mimo prawdziwej obsesji na punkcie genealogii,

⁴ Celowo nie używam tu terminu „potwierdzenie” – W. Goode raczej ilustruje z góry założony schemat teoretyczny, niż go w jakimkolwiek sensie weryfikuje w konfrontacji z faktami.

⁵ Goode W. (1963). *World Revolution and Family Patterns*. New York: Free Press of Glencoe.

ludzie ze społeczności „bez historii” wcale nie znają więcej swoich krewnych, niż my dzisiaj.

Również i fluktuacje wielkości rodziny z trudem tylko dają się powiązać z procesem urbanizacji i uprzemysłowienia. Przeciętna wielkość gospodarstwa domowego w Europie wynosiła, zgodnie z danymi zgromadzonymi przez Lasletta, 4,6 osoby⁶: w początkach wieku XX, a więc w erze industrializacji od tej przeciętnej w sposób znaczący nie odbiegała (Laslett P.: 1972).

Paradygmat zakładający utratę społecznego znaczenia przez rodzinę wskazuje, obok „obkurczenia się” rodziny jako aktywnie kooperującej grupy, ograniczenie pełnionych przez nią funkcji, przejmowanych przez wyspecjalizowane podsystemy – głównie ekonomiczny. Twierdzi się, że o ile w społeczeństwie tradycyjnym „rodzina” była jednocześnie jednostką produkcyjną – „przedsiębiorstwem” czy gospodarstwem rolnym, a czasem również jednostką polityczną, o tyle dziś – ogranicza się do pełnienia funkcji socjalizacyjnej oraz emocjonalnej. Faktem jest, że przeważająca większość gospodarstw domowych w krajach wysoko rozwiniętych utrzymuje się obecnie z pracy najemnej. To jednak, że rodziny w swojej większości nie mają już dzisiaj w domu warsztatu produkującego dobra na pobliski targ, niekoniecznie musi oznaczać utratę funkcji produkcyjnej, a tym samym prowadzić do *e k o n o m i c z n e j n i e - i s t o t n o ś c i r o d z i n y*: wyłączenia jej jako istotnego aktora z systemu reprodukcji ekonomicznej.

Można w tym miejscu zwrócić uwagę na trzy kwestie podważające tezę o „utracie funkcji produkcyjnej”. Pierwszy dotyczy „przedsiębiorstw rodzinnych”: „[...] przedsiębiorstwo rodzinne pozostaje w dalszym ciągu przeważającą formą organizacji przedsiębiorstw w Stanach Zjednoczonych. Prof. Peter Davis [...] szacuje, że firmy rodzinne generują co najmniej 60% dochodu narodowego, oraz że w ponad 75% prywatnych korporacji i różnego rodzaju spółek udziały większościowe należą do rodzin. Nawet pośród największych korporacji, tych z listy Fortune 500, około 30% jest kontrolowanych przez rodziny” (Peden J.R., Glake F.R.: 1986, s. 9). Nie należy utożsamiać rozdzielania „warsztatu produkcyjnego” od gospodarstwa domowego z *z a n i k i e m p r o d u k c y j n e j r o l i r o d z i n y*. Warto też zwrócić uwagę, że eli-

⁶ Naturalnie, dane, na podstawie których Laslett przeprowadzał szacunki, mają liczne ograniczenia; mowa jest też o przeciętnej, a więc liczbie nie uwzględniającej społecznego zróżnicowania (w przeszłości to biedni mieli mniejsze rodziny, a nie – jak dziś większe niż osoby z wyższych warstw społecznych).

minacja struktur nepotystycznych z organizacji jest raczej postulatem niż rzeczywistością: jeśli większość dużych przedsiębiorstw aktywnie unika⁷ zatrudniania w relacji hierarchicznej zależności osób spokrewnionych, to stanowi to raczej świadectwo ekspansywności rodziny niż jej wycofania.

Kwestia druga wiąże się z samym rozumieniem ekonomii. Rozumiana wąsko, ogranicza się do produkcji dóbr podlegających transferom rynkowym: dzisiejsze rodziny, poza przedsiębiorstwami rodzinnymi, istotnie nie produkują tego rodzaju dóbr. Rozumiana szerzej, pozwala dostrzec produktywność nawet i współczesnych gospodarstw domowych, choć dobra w nich wytwarzane nie stają się towarami. Rodzina ujmowana jest w neoklasycznej ekonomii jako instytucja maksymalizująca *d o b r o b y t i d o b r o s t a n* swoich członków: wszelkie decyzje składające się na formowanie rodziny i jej funkcjonowanie mają charakter ekonomiczny w tym sensie, że dotyczą alokacji zasobów oraz produkcji specyficznych dóbr w konkurencyjnym otoczeniu innych rodzin. Wreszcie, od dawna wskazuje się na ekonomiczną rolę rodziny w odtwarzaniu „kapitału ludzkiego” – nie tylko w sensie powoływania do życia oraz „inwestowania” w edukację, umiejętności czy „gust” (kapitał kulturowy) dzieci, ale w codziennym sensie odpoczynku, regeneracji, czy nawet podnoszenia indywidualnych motywacji do osiągnięć w sferze zewnętrznej (pracy, działalności publicznej itp.)⁸.

Podobne wątpliwości budzi teza o utracie przez rodzinę funkcji politycznych. Naturalnie, nawet w wąskim sensie władzy dziedzicznej czy to na mocy jawnej zasady „krwi”, czy bardziej subtelnych mechanizmów transferu wciąż w świecie krajów najbardziej rozwiniętych funkcjonują polityczne dynastie, nie tylko monarchów, ale i obieralnych polityków⁹. Jednak rodzina jest „jednostką polityczną” w innym przede wszystkim sensie. Jeśli przyjmiemy szeroką definicję polityki – jako sfery negocjacji woli zbiorowej, dystrybucji mocy decyzyjnej czy mechanizmów podejmowania decyzji, to rodzina jest bodaj *p r z e d e w s z y s t k i m* „jednostką polityczną”. „Rodzina lokuje się w przestrzeni między seksualnością a władzą, w polu oddziaływania sił spo-

⁷ Przedsiębiorstwa regulują tę kwestię wewnętrznymi przepisami; działają one niezależnie od merytokratycznego systemu rekrutacji.

⁸ Dane empiryczne wyraźnie pokazują na przykład, że mężczyźni nie mający rodziny pracują mniej (w sensie przepracowanych godzin) oraz mają niższą motywację do pracy i osiągania sukcesu w pracy.

⁹ Wystarczy wskazać na „dynastie” związane z nazwiskami Kennedy czy Bush.

łecznych oraz presji biologicznych. I nie jest ona bynajmniej bezpieczną przystanią; nie zapewnia schronienia ani przed władzą, ani seksualnością. Rodzina [...] jest regulatorem relacji seksualnych, określając kto może, kto musi, a komu nie wolno ich nawiązywać. Podobnie wpisane są w rodzinę relacje władzy, określające prawa oraz obowiązki członków rodziny.” (Therborn G.: 2004, s. 1–2). Można wręcz twierdzić, że propagowana swego czasu przez nauki społeczne normatywna wizja rodziny jako sfery bezkonfliktowego „obcowania osobowości” jest wyjątkowo nietrafna czy wręcz niebezpieczna (Lasch C.: 1977).

Procesy społeczne, w myśl przeważającego w socjologii paradygmatu, prowadzą – w konsekwencji „obkurczania” i przejmowania funkcji – do „p r y w a t y z a c j i” rodziny. Sądzi się, że w miarę tego, jak rodzina przestaje pełnić funkcje ekonomiczne i publiczne, przekształca się w przestrzeń zindywidualizowanych interakcji pomiędzy bliskimi sobie osobami; przestrzeń odizolowaną, do której nikt niepowołany nie ma wstępu. W tym jednak właśnie miejscu napotykamy kolejną wątpliwość, za sprawą której rodzina nabiera dwuznacznego charakteru. C z e g o b o w i e m d o t y c z y p r y w a t n o ś ć r o d z i n y? Jeśli bowiem prywatność traktujemy jako sferę, by tak rzec, „o k o ł o j e d n o s t k o w ą”; jeśli prywatność dotyczy tylko j e d n o s t k i – prawa do czasu dla siebie czy własnych zainteresowań, to mówienie o rodzinie jako sferze prywatnej nie ma sensu. Sfera prywatna rodziny byłaby bowiem w tym przypadku po prostu sumą prywatnych (intymnych) sfer poszczególnych jednostek. Mówienie o r o d z i n i e jako sferze prywatnej ma sens jedynie pod warunkiem, że uznamy, iż istnieje swego rodzaju sfera ponadjednostkowa, na którą składają się nie tylko jednostki, ale również to wszystko, co się pomiędzy nimi dzieje, i to wszystko, co stanowi wspólną przestrzeń wytworzaną przez ich interakcje. Łatwo jednak zauważyć, że w takim ujęciu natychmiast napotykamy problem gwarancji praw jednostki. Nie możemy tolerować jako „sfery prywatnej” przemocy wobec dzieci czy współmałżonka. Jeśli jednak na straży indywidualnych praw członków rodziny stoją instancje zewnętrzne, to w żadnym razie nie możemy utrzymywać, że rodzina przeszła ze sfery publicznej w sferę prywatną. Biorąc pod uwagę szereg uregulowań dotyczących wzajemnych zobowiązań oraz uprawnień członków rodziny, prywatność rodziny zdaje się dość iluzoryczna. Co więcej – jeśli miarą prywatności rodziny jest nie ingerowanie w jej wewnętrzne stosunki, to trend historyczny czyni rodzinę i n s t y t u c j ą c o r a z b a r d z i e j, a n i e c o r a z m n i e j „p u b l i c z n ą”. Również więc i teza o „prywatyzacji” rodziny wymaga ponownego rozważenia, szczególnie w odniesieniu do poważnych

dyskusji toczonych na ten temat w obrębie filozofii politycznej (Kymlicka W.: 1998).

Wreszcie, zwieńczeniem niejako przeważającej w socjologii wizji rodziny jako instytucji podlegającej coraz silniejszemu presjom rozrywającym jej wewnętrzną spójność jest narastające przekonanie o jej kryzysie, zaświadczanym przez rosnące statystyki rozwodów, niepełnych rodzin, kolejnych małżeństw, komplikujących sytuację rodzinną dzieci, osób niezawierających związków małżeńskich. Tutaj również powinniśmy jednak zachować ostrożność. Rzetelna analiza statystyk rodzinnych dla Stanów Zjednoczonych w latach 1870–1970 przywołała demografa Pietera Uhlenberga do zaskakujących wniosków. Otóż, w porównaniu z kohortami Amerykanów urodzonych w roku 1870, pokolenie lat 70. ma większe, a nie mniejsze szanse na zawarcie małżeństwa. Mimo rosnącej stopy rozwodów, z uwagi na spadek ryzyka wdowieństwa oraz – jednocześnie – wzrost szansy na zawarcie małżeństwa, para z lat 70. ma obecnie większe szanse doczekać z pierwszym małżonkiem 50. urodzin; oznacza to, że trwałość małżeństwa zwiększa się, a nie zmniejsza. Dzieci istotnie są obecnie bardziej niż 100 lat temu narażone na rozwód rodziców – ale ryzyko utraty któregoś z rodziców wskutek śmierci zmniejszyło się ponad sześciokrotnie. „Dane ilościowe – konkluduje autor – nie potwierdzają tezy o dezintegracji oraz dezorganizacji rodziny” (Uhlenberg P.: 1978, s. 95)¹⁰. Należy podkreślić, że Uhlenberg analizował, z uwagi na ograniczenia danych, jedynie rodziny białych Amerykanów, zdecydowanie bardziej odporne na procesy dezintegracji. Trudno powiedzieć, na ile inaczej wygląda sytuacja rodzin kolorowych – z reguły biedniejszych, w których zawsze koncentrowały się zjawiska uznawane powszechnie za kryzysowe. Nie jest jednak wykluczone, że również i w tym przypadku nie odnaleźlibyśmy dramatycznych różnic. Teza o kryzysie rodziny jest więc raczej pochodną pewnego normatywnego ideału rodziny¹¹ niż konkluzją z krytycznie zweryfikowanych faktów. Jest bowiem kwestią moralnego

¹⁰ Po roku 1970 zjawiska kryzysowe wyraźnie się nasiliły; nie jest jednak pewne, co było ich źródłem – według kontrowersyjnej tezy Charlesa Murraya była nią prorodzinna polityka społeczna, stwarzająca ekonomiczne zachęty do nielegalizowania związków. Naturalnie, oddziaływała ona jedynie na biedniejsze warstwy społeczne, przyczyniając się do dalszej koncentracji zjawisk kryzysowych w tej właśnie grupie. Por. Murray C.: 2001.

¹¹ Normatywny ideał rodziny nuklearnej w postaci rodziny mieszczańskiej, a następnie – partnerskiej (*companionship marriage* Burgessa i Locka: 1945) ma silne korzenie ideologiczne; będzie o tym mowa w rozdziale VI.

osądu uznać, że śmierć ojca jest dla dziecka mniej kryzysowym doświadczeniem niż rozwód.

Wszystkie te wątpliwości, w tym miejscu jedynie zasygnalizowane, nakazują na nowo postawić pytanie o rodzinę, uwzględniając przy tym zarówno aktualny stan teorii rozwijanych w tej dziedzinie przez inne dyscypliny nauki, jak i aktualny stan badań nad historią rodziny oraz zróżnicowaniem jej form. Nie idzie o to, żeby zanegować wszystko, co w socjologii zostało powiedziane na temat rodziny, ale o próbę nowego spojrzenia na zgromadzoną wiedzę. Jeśli bowiem rodzina jest nawet współcześnie integralnie zrośnięta z aktywnością ekonomiczną i strukturami władzy; jeśli rezyduje ona na styku natury i kultury w tym przynajmniej sensie, że wciąż jest głównym miejscem powoływania do życia nowych pokoleń, to nie można traktować jej jako sfery dla życia społecznego marginalnej. Praca ta wyrasta z głębokiego przekonania, że to właśnie rodzina była – i wciąż jest – centrum życia społecznego, a tym samym znajduje się w centrum teorii socjologicznej. I, co ważniejsze, rozważania nad rodziną muszą uwzględnić wiedzę, której nam na jej temat dostarczają inne dyscypliny nauki: owa niepozorna „komórka społeczna” wiąże w sobie wiele wymiarów tradycyjnie „rozdzielanych” pomiędzy różne nauki społeczne: jest jednocześnie „jednostką reprodukcji biologicznej”, gospodarstwem domowym, grupą społeczną, a także – z uwagi na konieczność uzgodnienia woli zbiorowej, najbardziej pierwotną „jednostką polityczną”, w której zawiązują się struktury władzy i pojawia „dobro wspólne” nie tylko w sensie ekonomicznym, ale też w postaci prestiżu, nazwiska, „honoru” rodziny, troskliwości, opieki, czy czystości¹². Rodzina jest więc rzeczywistością złożoną, w obrębie której spotykają się i splatają procesy demograficzne, ekonomiczne, społeczne i polityczne. Dlatego w książce przywołane zostaną najnowsze – lub najbardziej uznane modele i ustalenia empiryczne z zakresu biologii ewolucyjnej, ekonomii i demografii historycznej. Nie sposób bowiem zrozumieć, czym jest „rodzina”, ani zrozumieć zróżnicowania form, w jakich się materializuje, bez odwołania się do procesów i presji, na które stanowi odpowiedź i z którymi wiąże ją dynamiczne sprzężenia zwrotne.

¹² Dobro publiczne definiuje się jako dobro, z korzystania z którego nie sposób nikogo wykluczyć: w tym sensie z „czystości” domu korzystają wszyscy jego mieszkańcy, podobnie jak wszyscy nosiciele dobrego nazwiska okrywają się jego splendorem. Pojęcie „dobra publicznego” stosuje się – co znamienne w tym kontekście – do różnego rodzaju dóbr „produkowanych” oraz zarządzanych przez państwo (obronność, bezpieczeństwo publiczne, czystość środowiska).

Dlatego przedkładana czytelnikowi książka nie jest pracą z dziedziny tradycyjnie rozumianej socjologii rodziny. Lokuje się raczej w obszarze socjologii teoretycznej. Proponowany w niej model rodziny jest jednocześnie modelem elementarnego układu społecznego. Sprawia to, że zawarte w książce rozważania prowadzone są na dwóch poziomach: na poziomie czysto teoretycznym, dla którego „rodzina” jest tylko reprezentacją elementarnego układu społecznego, oraz na poziomie empirycznym, na którym rozważane są związki między historycznymi formami rodziny a kontekstem, w którym doszły do głosu.